


Pola

Otaczały wielką falistą powierzchnią wioskę, w której się wychowałem. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego - wszystkie takie same. Zagony i miedze, zboża i miedze, pastwiska i miedze. Różnią się chyba tylko rodzajem plantacji. Dla obcego może tak, dla przyjeźdnego zapewne tak, ale nie dla swoich. Swoi znają charakter każdego pola. Nazywają je odpowiednio do tego charakteru. Nazwy te są przekazywane synom przez ojców, wnukom przez dziadków, a ci wnukowie przekażą je dalej jeszcze - swoim wnukom. Takie choćby pola „na krzaku”.


Nigdy takie nie je szersze jak jakie trzydzieści metrów, a długie pod sam las. I spochoba tam straszna a przez to i miedze wysokie. A na tych miedzach rosno krzaki terek i dla tego te pola so „na krzaku”. A poza tym wiadomo, że od lasu to sie nic nie rodzi. Zboże sie nie uda bo zacień od drzew, kartofle tak samo nie rosno a jak nawet urosno to dziki zjedzo. Na zgórkach to nawet czasem i zboże urosnie, ale jak sarny nie spaso to i tak wylegnie bo to wysoko i deszcze bijo. I co z takiego pola nie dość, że krzywe to jeszcze nieurodzajne. Jeszcze człowiek dobrze od miedzy nie odbierze a już rozganiać trza. Ech kinułyby w czort jakby to ojcowizna nie była, no i mówio, że jak do Unii wejdziem, to cena skoczy.

Takie pola „na krzaku” były niegdyś. Wąskie wstęgi z wysokimi miedzami. W krzakach „terek” jak w cierniowej  koronie wiły swe gniazda gąsioriki. Widok przesiadującego na wierzchołku tarniny ptaka nie był rzadkością. Latem pola pełne były nawoływań głodnych młodych dzierzb. W trawiastych miedzach lęgło się drobne ptactwo: trznadłe, potrzeszcze, pliszki i skowronki, drobne gryzonie i ich zawzięty wróg łośnica. Często też, zwłaszcza mglistym rankiem, można było zobaczyć płochliwą sarnę, która pod osłoną białych obłoczków usiłowała uszczknąć coś z chłopskiego zagonu. Przy odrobinie szczęścia można też było „zaliczyć” bliskie spotkanie z łosiem podczas jego jesiennych wędrówek. Myszołowy zataczały wielkie kręgi nad polami, donośnym głosem przypominając gryzoniom, że atak może przyjść także z powietrza. Często przysiadowały na „dziesiątkach” zboża. Gdzieś chyłkiem pod lasem przemknął jastrząb, niezauważony, o ile nie „namierzyły” go jaskółki. Tak było do niedawna. Ale oto „pomyślne” rozwiązanie samo i to za darmo przyszło od strony gminy. Regulacja gruntów. Kilka dni pracy spychacza i koparki - i proszę, gotowe. Nie ma już „spochoby”, nie ma i tarnin, jest równo jak na desce i widać na wskroś aż pod sam las. Pola „na Zagórze”, poprzecinane wąwozami, na których wysokich zboczach panowały ptaki i czereśnie a miedze porośnięte były najśłodszymi malinami w okolicy.

Te to już Panie trocha lepsze, też długie het aż do kolonii, ale tam już glinka na zgórkach sie trafia. Buraki jak kałbany wielkie rosno. Tylko w dołkach pupilucha, nawóz trza sypać żeby zboże łaciate nie było. Ale te pola to już mogo być. No i kawałki przyzwoite. Pięć morgi w jednym, to już je się na czym za koniem uchodzić. I wygodne bo długie, jak się kosi wiązałko to nie trza tyle kręcić. Tylko odkaszać ciężko. Oj trza się koso uciągnąć. Machasz i machasz aż koszula mokra a końca nie widać. Babom też łupie w krzyżu jak za chłopami podbierajo. Młody to by jeszcze iszed iszed a staremu to zara odchaducha trza.

W dzieciństwie chodziliśmy z przyjaciółmi na te „słodkie miedze”. Nieraz w krzaku maliny zdarzyło się znaleźć gniazdo pokrzewki. Przez wiele lat w kępach leszczyny, które miejscami porastały miedze, miał swoją norę lis, siejąc przy okazji postrach wśród domowego ptactwa. Jednakże brawura rudego drapieżnika została szybko ukrócona. Zginął we wnyku zastawionym tuż u wlotu do nory. Któregoś lata na pastwisku odkryliśmy gniazdo bażanta. Pełne zaskoczenie i pełna egzotyka - 22 oliwkowe jajka. Niestety, nie zdążyły wyjść z nich pisklęta - cały lęg zginął pod jednym ciężkim i nieuważnym stąpnieniem poczciwej Krasuli. Znamienny był żurawi klangor, jaki zawsze towarzyszył

nam podczas zbioru tych wielkich jak „kałbany” buraków. Długie klucze siwych ptaków ciągnęły na południe. Zimą faliste pola doskonale nadawały się do białych szaleństw końmi zaprzęgniętymi do wasażka. Głos janczarów niósł się aż do wsi. Nieraz przyszło zaliczyć wywrotkę biorąc rozpedzonymi saniami zbyt ostry wiraż. Regulacja tu również dotarła, zaprowadzając równy, praktyczny i beznamiętny porządek.

Pola „na podstawiu”. Sąsiadowały bezpośrednio z łąkami oraz - jak nazwa wskazuje - ze stawami. Te z kolei  były równe, bez „spochoby” ani wysokich miedz, tylko często woda stała w grządkach. Za to gleba była tutaj najlepsza w okolicy - II klasa. Pola te, o dziwo, nie ucierpiały „od regulacji”, ostały się w prawie nie zmienionym stanie. Nic tam nie przeszkadzało „racjonalnej gospodarce rolnej”, a nieliczne samotne drzewa mogły pozostać, zawsze to jakiegoś cienia użyczą. Drzewa te służyły też jako doskonałe punkty obserwacyjne mysołowom, podczas czatowania na drobne gryzonie, zimą zaś przysiadł na nich często włochaty kuzyn naszego „myszaka” - kosmacz. Z racji tego, że zwykle pola te były podtapiane, z reguły rolnicy siali tam zboże (aby okopowe nie gnęły) mimo woli stwarzając tym doskonałe siedlisko dla ptaków, które pośród zbóż zakładały gniazda. Pamiętam przypadkowo znaleziony lęg rycyka, kiedy to wilgotne jeszcze pisklęta tego zagniazdnika rozpierchły się niemal spod moich nóg między zboża. Mama, czy też tata, trudno dziś powiedzieć, narobiła przy tym niezłego rwetesu nad moją głową. Często też w „nastawnych” zbożach znajdowałem gniazda bażantów i kuropatw. Pewnego razu, idąc za dziwnym piskiem pośród źdźbeł zbóż miałem spotkanie z pisklęciem przepiórki; cóż, nie było tak ostrożne jak jego rodzice. Pamiętam moje zdziwienie, gdy zamiast, jak się spodziewałem, puchatego maleństwa, spotkałem istnego małego potworka na szcudłowatych nogach, o stopach zaopatrzonych w nieproporcjonalnie długie palce.


Pola były również ostoją kuropatw. Jesienią liczne ich stadka podrywały się niespodziewanie z ziemi z głośnym furkotem przyprawiając przypadkowego przechodnia niemal o zawal. A te małe przechery nic sobie z tego nie robiły, tylko drwiąco pokazywały wystraszonemu widzowi ceglasto czerwone sterówki. Późną jesienią i zimą słychać było ostre „skrzypienie” żerujących ptaków. Ludzie we wsi mówili: „Będzie mróz, bo kuropatwy trzeszczą”. Zimą na tych polach wysypywaliśmy „poślad”, czyli gorszej jakości zboże i nasiona chwastów, jakie pozostawały po omłotach. Kuropatwy chętnie się nim posilały. Ale, niestety, pola te były również miejscem śmierci ptaków z rąk, zielonego z reguły, dwunożnego osobnika uzbrojonego w „grzmiący kij”. Często też śmierć przychodziła znienacka z powietrza i miała postać „jastrego” żółtookiego drapieżcy o szaro-stalowym ubarwieniu. Zwykle po takiej uczcie drapieżnik zostawiał również coś dla mnie, a były to w sposób charakterystyczny wyrwane pióra, kolejny dowód na to z czyjej ręki czy też dzioba padła nieostrożna kuropatwa. Po kilku wizytach w takich miejscach miałem już skompletowany niemal całkowity „garnitur” kuropatwy do mojego „Piórnika”. Wiosną często na pola na „podstawiu” zaglądały, będące na przelotach, błotniaki stawowe i łąkowe. Nigdy się tam jednak nie gnieździły. Te pierwsze głównie dlatego, że o wiele doskonalsze warunki miały o kilkaset metrów dalej na rozległym trzciniowisku, i tam zwykle zakładały gniazdo. Te drugie zaś preferują bardziej spokojne obszary i mimo, iż biotop był dla nich odpowiedni, to jego powierzchnia zdecydowanie zbyt mała i zbyt często penetrowana przez ludzi i wążsające się koty. Niemniej jednak widok popielato ubarwionego, o czarnych końcach skrzydeł, samca był dla mnie zawsze radosnym przeżyciem. Równie emocjonujące były zaloty błotniaków stawowych, kiedy to ptaki wykonywały efektowne podniebne ewolucje, podkreślając swe zaangażowanie donośnymi okrzykami.

Pola „do Hatki”. Nikt nie potrafił wyjaśnić mi dlaczego tak się nazywają. Podejrzywałem zawsze, że słowo „Hatka” ma zapewne ukraiński źródłosłów, tym bardziej, że to „h” jest wymawiane jak typowe ukraińskie tzw. nieme „h”. Pola te były najbardziej doceniane.

Bo to i chodzić nie trza daleko, tylko człowiek na zagumienki wyjdzie. Kawałki duże nie ma mocno krzywo, krowy ganiać też blisko. Ogród można zrobić, to jakeś marchewke czy buraczków zawsze

bliży przynieść, wczesnych kartofli nakopać też dobrze. Tylko czasem źle jak jaka krowa w szkodę wliwie ale to się zawsze można z sąsiadem dogadać.


To była kraina drobnych śpiewaków. Dla dzierzby nie było tam miejsca, bo nie było tarnin. Za to od wczesnej wiosny aż do wykopków skowronki wywodziły nad tymi rozległymi niwami swe melodyjne pieśni. Potrzyszcz na drucie linii elektrycznej wtórował im swoim o wiele skromniejszym głosem. Do tego duetu ptasich głosów dołączał się często mniejszy kuzyn potrzyszczka - żółto brzuchy trznadel i nie spokrewniona z nimi, ale również żółto brzucha pliszka żółta wraz ze swą popielatą krewniaczką. Na wystających łądygach bylicy przesiadywała często pokląskwa. Raz nawet udało mi się odnaleźć gniazdo o wiele rzadszej kłaskawki o głowie barwy gorzkiej czekolady. Pięć okrągłych niebiesko zielonych ptasich klejnotów spoczywało na dnie uwitego z traw gniazdka.

Ssaczy świat pól „do Hatki” stanowiły głównie gryzonie, te małe - myszy i norniki, trochę większe - chomiki i  całkiem duże - szaraki. Chomiki zwane przez „wioskowych” - chomami miały na polach najcięższe chyba życie, a to dla tego, że dotkliwie cierpiały od kundli z wioski. Psiaki te znajdowały niesamowitą frajdę w rozkopywaniu nor biednych zwierzątek. Widok takiego kundla był nieraz dla postronnego obserwatora bardzo zabawny, kiedy to zawzięte psisko - z gatunku tych, co to nie gryzą, ale połykają w całości - ryło zajadle norę w pogoni za gryzoniem. Nieraz nie było już widać upartego myśliwego a tylko jego ogon z głęboko wykopanej nory. Zdecydowanie mniej do śmiechu było chomikowi gdyż w wyniku tej działalności, poczciwy kriketus prawie zawsze tracił życie. Niezapomniane jest dla mnie również spotkanie z młodym szarakiem. Stało się to podczas czerwcowego bronowania ziemniaków (były to czasy, gdy te rzeczy czyniło się jeszcze przy pomocy „sunka wakan” - jak Indianie nazywają konia). Stary poczciwiec o psim imieniu Burek człapał ciągnąc za sobą stemwęgę z bronami, ja zaś stale zerkając ku jej prawej krawędzi ciągle widziałem tam jakąś szarą kulę ni to gruda ziemi, ni to chwast. Dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że to żywa istota. Młodziutki szarak o sierści tak delikatnej w dotyku jak plusz. Wziąwszy go w ręce miałem wrażenie, że trzymam tylko jego serce, tak silnie biło. Oszczędzając mu dalszego stresu wypuściłem go na miedzę. Z istic zajęczą prędkością pomknął w zboża. Nie mniej ciekawe było spotkanie z łasicą. Idąc sobie w południe pewnego słonecznego dnia po miedzy upstrzonej białym i żółtym nostrzykiem i błękitną cykorią, usłyszałem jakiś dziwny głos. Przypominał mi trochę „ciurkotanie” przepiórki, ale nie, to na pewno nie była przepiórka. Zaczaiłem się pośród wysokiej koniczyny o czerwonych główkowatych kwiatach. Czekałem cierpliwie. I już wkrótce moja cierpliwość została nagrodzona. Pośród seledynowych wątych trawek na drugiej stronie drogi pojawił się mały brązowy drapieżnik z białą pierśią i podbrzuszem. Maleńka okrągła główka z wysuniętym do przodu pyszczkiem i sterczącymi uszkami wyglądała niesamowicie sympatycznie i śmiesznie zarazem. Ale aby nie spłoszyć zwierzątka zamarłem w bezruchu. Ssak wyraźnie kogoś przywoływał. Wkrótce jednak zniecierpliwiony przywoływaniem zniknął w trawach. Niedługo potem moim oczom ukazał się widok o niebo bardziej komiczny niż głowa drapieżnika. Oto troskliwy rodzic prznosił przez drogę w pyszczku swe potomstwo. Latorośl zdecydowanie bardziej pulchna niż rodzic zwiślała z pyska niczym wielki klusek, zaś sam transportujący musiał wysoko podnosić głowę, aby nieopatrnie nie przydeptać swego potomstwa. Widok przekomiczny. Operacja została powtórzona czterokrotnie, gdyż tyle „dzieci” było w rodzinie.

Ale przyroda pól „do Hatki” to nie tylko zwierzęta, to również cały gama pięknych różnobarwnych ziół i wszelkiego kwiecica. Najwcześniej pojawiały się na miedzach i pastwiskach żółte łany „mleczka”, jak je nazywaliśmy, a mowa tu rzecz jasna o mniszku lekarskim - przysmaku królików. Potem pojawiały się inne rośliny, niebieskie chabry, krwiste maki w łanach zbóż. Raz nawet całkiem przypadkowo odnalazłem bardzo rzadki „chwast” jakim dziś jest kąkol. Swoiste kwietne enklawy stanowiły miedze. Oprócz wspomnianych wcześniej cykorii i nostrzyków, porastało je mnóstwo innych roślin o całej paletce barw. Przysmak gęsi - pięciornik gęsi o żółtym kwiecie i liściach, które nieodparcie kojarzyły mi się z liśćmi paproci. Jego kuzyn, pięciornik kurze ziele, również żółty i

zapewne przysmak kur. I jeszcze jeden z rodzaju *Potentilla* - pięciornik rozestłany. A jeśli już o przysmakach: rosło również często na miedzach ziele Achillesa, którym gospodarne babcie, mieszając je ze skwaśniałym mlekiem, karmiły młode indyki. Nierzadkim widokiem na miedzach były mięsiste, gruboszowate rozchodniki. Ale wszędzie panowały pospolite bylice, z rzadka tylko ustępując miejsca swemu leczniczemu krewniakowi - piołunowi. Nie było to jednak panowanie despotyczne, łaskawe władczynie pozwalały wpełzać na swe łodygi węższym od siebie roślinom: żółtemu, zielonowąsemu groszkowi i pospolitej powójce o pełnych białych kwiatach, przypominających naparstki. Zaś w cieniu dostojnych władczyń, gdzieś na granicy „miedza - pole” przycupnął nieśmiało kurzyślad polny - właściwie nie wiadomo dlaczego tak nazwany. Całość miedzy przesywały lecznicze korzenie kolejnej pożytecznej, choć jakże znienawidzonej przez rolników rośliny - perzu, zwanego właściwym.

Pola „do Hatki” też w zasadzie ostały się scaleniu gruntów, co prawda te wspaniałe kwieciste miedze zostały brutalnie przemieszczone i przez kilka kolejnych lat nie były już tak kwieciste, ale powoli wraz z upływem czasu odradzają się. I to napawa radością.

Z dystansu czasu i przestrzeni można w miarę obiektywnie ocenić pewne zjawiska. Przedstawiony przeze mnie  obraz to niestety tylko pewien wycinek rzeczywistości, rzekłbym „rolniczo-krajobrazowej”, a raczej niekorzystnych zmian jakie zachodzą w ostatnich latach w naszym kraju. Ten jakże charakterystyczny krajobraz, polski krajobraz, gdzie na wysokich miedzach przedzielających wąskie wstęgi pól „polne grusze siedzą” ulega nieodwracalnej degradacji. Mimo iż jest na tyle charakterystyczny, że stanowi pewien oddzielny „takson” w klasyfikacji krajobrazu, zaproponowanej zresztą nie przez Polaka. Krajobraz ów jest niszczone bez względu na wszelkie konwencje o ochronie różnorodności biologicznej i krajobrazowej. Nie jest to wprawdzie tak nagłaśniane jak wycinanie Puszczy Białowieskiej, olimpiada w Tatrach, czy budowa zapory w Nieszawie, bo wydaje się, że nie jest to takie spektakularne i efektywne niszczenie. Lecz czy rzeczywiście jest to mniej groźne zjawisko? Otóż obawiam się, że nie, a kto wie czy nie bardziej katastrofalne, choćby przez to, że zachodzi na wielkich obszarach. I jeszcze jedna smutna konkluzja. Często uzasadnia się, że tzw. wejście do Unii wymusi na naszym rolnictwie wielkoobszarowość. My, Polacy chyba już doskonale skądś to znamy, z nieodległej historii. Nie dalej jak jedno pokolenie temu również pewien system czy ustrój (przychodzący co prawda z przeciwnego kierunku) chciał wymusić na naszych rolnikach tworzenie kołchozów, PGR-ów itd. Mechanizm niby inny, ale skutek, przynajmniej jeśli idzie o oddziaływanie na przyrodę, identyczny. I znów przychodzi na myśl nieszczęsna Puszcza Białowieska, która przetrwała cara, Niemca i komunę, a kto wie czy przetrwa kapitalizm w wydaniu polskim. Nasze rolnictwo, a przez to i krajobraz rolniczy, również oparło się - jak mówią starzy - „sanacji i okupacji”, przetrwało czasy przymusowego rozkułaczania, które na Ukrainie „zaowocowały” wielkim głodem - a okresu dostosowawczego do wejścia do Unii może nie przetrwać. To znaczy, rzecz jasna, przetrwa, bo jak mawiają Indianie „tylko Ziemia przetrwa”, pytanie tylko: w jakim stanie? Chciałbym poddać tę myśl pod rozagę rządzących i tych, którzy zajmują się ochroną przyrody. Pomyślmy jak chronić nasz krajobraz, bo jest to nasz cenny skarb. Abyśmy nie skwitowali efektu naszej bezmyślności, czy też „jednokierunkowości” słowami, jakie kiedyś usłyszałem w Bieszczadach z ust starej Ukrainki: „Kiedyś było tu ładniej”.

Krzysztof Wojciechowski